

Józef Piłaszewicz "Zgrzyt".



Akcja na Zabłudów, przeprowadzona przez nas w okresie amnestii, faktycznie wyłączała nas spod niej. To był okres, kiedy zastanawialiśmy się z kolegami: skorzystać z amnestii czy nie skorzystać. Powiedziałem tak: Zastanówcie się. Nie skorzystanie z amnestii pozostawia nam tylko jedną drogę wyjścia - bić się dalej i dać się wytłuc do ostatniego, bo następnej amnestii już nie będzie. Jesteśmy przecież młodzi a tu, w lesie, żadnych perspektyw nie mamy. Anglia nie śpieszy nam z pomocą, w trzeciej wojny nie będzie. Głosujemy więc, kto jest za ujawnieniem. - Większość podniosła rękę opowiadając się za skorzystaniem z amnestii. Pozostawał jednak problem akcji na Zabłudów. Wieczorem poszedłem więc na stację Kuriany, skąd zadzwoniłem na UB i mówię, że chcemy się ujawnić. Kto dzwoni? - "Zgrzyt", dowódca oddziału. - odpowiadam. - A oddział "Ducha" to na waszym terenie grasuje? - Duch jest w moim oddziale - - zdziwiłem się. - Dobra. Przez telefon nic nie załatwimy. Proszę zgłosić się osobiście. Proszę przyjechać ~~następnie~~ jutro. Omówimy wtedy warunki waszego ujawnienia.

Wróciłem do oddziału i opowiedziałem chłopakom jej treść. ~~Następnie~~ Zdecydowałem, że pojedę na UB następnego dnia a ubezpieczać będą mnie, na wszelki wypadek, "Pionek" i "Stryj" spod Kurian. Oddział z chwilą naszego odejścia, miał odmaszerować na inne, nam nieznane, miejsce. Kontakt mieliśmy nawiązać przez naszego łącznika w Majówce. W ten sposób zabezpieczyliśmy się na wypadek, gdyby UB nas pochwyciło.

Ja natomiast z moją obstawą poszliśmy do Białegostoku na UB. Ja i "Pionek" byliśmy w mundurach wojskowych, natomiast "Stryj" był w cywilu, na dalszej obstawie. Wszyscy uzbrojeni byliśmy w broń boczną. Poszliśmy na UB na ul. Warszawskiej. Podszedłem do wartownika i zameldowałem: Dowódca oddziału WiN pseu-

donim "Zgrzyt". Zgodnie z umówionym terminem przyjechałem na spotkanie z komendantem Urzędu Bezpieczeństwa. - Wartownik jak to usłyszał to zgłupiał. W końcu przyszedł do siebie i zawołał stojącego wewnątrz wartownika, żeby mnie zameldował. Wpuszczono nas do środka. Gdy przedstawiłem się z nazwiska, wtedy jeden z oficerów bezpieczeństwa, starszy już białorus, powiedział: A to ja pańskiego ojca doskonale znam. - No dobra. Ale my tu w innej sprawie przyszliśmy. Ujawniamy się i chcemy skorzystać z amnestii. - Stawiam jednak sprawę jasno i mówię: W międzyczasie jednak dostaliśmy taki rozkaz, żeby rozwalić administrację w Zabłudowie i skorzystamy więc z amnestii czy nie skorzystamy? - Ubecy zaczęli naradzać się, czy przez palce popatrzeć na naszą akcję w Zabłudowie i zgodzić się na nasze ujawnienie czy nie. W końcu szef PUBP przeciął te wątpliwości: Czas już przestać strzelać do siebie, tym bardziej, że petraktacje w sprawie ujawnienia prowadzi Komenda Obwođu /Okręgu? - J.K./ Białystok. - Ustaliliśmy więc, że ujawniamy się następnego dnia czy po dwóch dniach, już nie pamiętam.

Nawiązaliśmy kontakt z oddziałem i opowiedzieliśmy jak było na UB. Ustalonego dnia wzięliśmy u okolicznych chłopów furmanki i jedziemy do Białegostoku. Furmanek było z 5 czy 6, gdyż nas było około 25-ciu. Jechaliśmy szosą, która prowadzi na Baranowicze. Na rogatkach Białegostoku zatrzymało nas dwóch mężczyzn - jeden z nich był w mundurze oficera bezpieczeństwa - znałem go stąd, że był obecny w czasie naszej wizyty na UB, drugi był w cywilu. Ujawnienia nie ma - mówią do nas - Przesuwamy termin na tydzień czasu. Wracajcie na swoje miejsce. Musimy je ustalić, żeby nie doszło do niepotrzebnego starcia. - Dlaczego tak? - Bo ujawnia się cały ob-

Wód i nie będą w stanie powiadomić siatki, żeby się ujawniła.  
- No cóż było robić. Wracamy spowrotem. Początkowo stacjonujemy we wsi Dąbrowy, potem w Kamionce, Rafałówce - wsi gdzie urodziłem się i mieszkałem. W niedzielę część chłopaków poszła do kościoła w Rafałówce. Oczywiście wszyscy pod bronią. Potem urządziliśmy zabawę. Chłopaki bawią się jak złoto. W pewnym momencie przyszło na zabawę dwóch uzbrojonych milicjantów z Zabłudowa, a ustalone przecież było ~~x~~ z UB, że w podanych przez nas miejscowościach nie będzie się pętać ani milicja, ani UB, ale byli, tyle, że w cywilu. Milicjanci, którzy przyszedli do nas na zabawę zaczęli zachowywać się prowokacyjnie więc chłopaki błyskawicznie rozbroili ich i dali kopniaka w tyłek wyrzuciwszy ich w ten sposób z zabawy. Następnego dnia przyjechał do mnie komendant milicji z Zabłudowa i zaczął prosić, żebym oddał mu te amuntoamty, które zabraliśmy jego milicjantom bo grozi im wyrok do 5 lat, za to, że dali się rozbroić. A to "Prionek" i "Mały" rozbroili tych milicjantów. No to kazałem im, żeby oddali mu te ~~x~~ automaty. To komendant jeszcze wódkę postawił.

Gdy nadszedł kolejny termin ujawnienia znowu wzięliśmy furmanki w Rafałówce i ruszyliśmy do Białegostoku. To był 21 kwietnia 1947 r. Gdy wjechaliśmy do Białegostoku od strony Zabłudowa w oknach wszystkich domów po jednej i drugiej stronie ulicy ujrzeliśmy wystające lufy erkaemów i mordy ubeków. Byliśmy nastawieni na najgorsze. Wszystko mogło być możliwe. Każdy trzymał broń w pogotowiu. Napotkany łącznik powiedział, że ujawnienie nastąpi w Komendzie Urzędu Bezpieczeństwa. Zostawiliśmy więc furmanki, z których jedna załadowana była bronią, i całym oddziałem poszliśmy na mszę do kościoła farnego. na poranne nabożeństwo. Broń oczywiście mieliśmy ze sobą, co

bardzo niepodobało się księdzu, który podszedł do nas i zaczął strofować chłopaków. Furmanek pilnowała tylko woźnice i jeden z chłopaków. Ja wszyliśmy z kościoła powiedziałem do wszystkich: No chłopaki, pożegnajmy salwą las. - Jak bractwo zaczęło strzelać do góry, to nie mogłem ich powstrzymać. W końcu jednak uspokoili się i poszliśmy na UB, na podwórze. Ustawione tam były stoły, do których po kolei podchodziliśmy i zdawaliśmy broń. Ja podszedłem pierwszy i zdaję nowiutkiego "walterka". Stojący obok ubek, gdy go zobaczył, natychmiast wyciągnął po niego rękę. Ostrożnie, bo naładowany - ostrzegłem go. Ubek sprawdził magazynek i zamek. To tak nam nie wierzyście? - zdziwił się bardzo. - Do ostatniej chwili?. Pas. Zostawić czy oddać? - zapytałem się. - Oddać. - Zdjąłem więc pas i położyłem go na stole. Gdy ujawniali się pozostali mnie wezwano na górę, żeby wyjaśnić sprawę Zabłudowa. Nie było z tym jednak problemów, bo ubecy byli zadowoleni, że ujawniał się cały obwód wraz z siatką, co zapewniało im spokój w terenie. Sprawę Zabłudowa potraktowali więc marginesowo.

Odseparowano mnie od moich chłopaków i dowództwa, zaproszono natomiast na obiad. Strasznie głupio się czułem. Dookoła mnie siedzieli sami ubecy, którym towarzyszyła para dzień-podchwytyliwych nikiarzy - kobieta i mężczyzna. Zadali mi parę pytań, na które starałem odpowiadać wymijająco. Gdy już uczta skończyła się i schodziłem po schodach w dół do wyjścia, na schody wyskoczył oficer UB i leci za mną. Co pan zamierza robić? - spytał się, gdy dogonił mnie. - Dziś wyjeżdżam. - To jedyna słuszna droga. Jeżeli pan zostanie na miejscu, zostanie pan aresztowany. Niech pan wyjeżdża i niech pan przez parę ładnych lat nie pokazuje się tu w terenie. Radzę panu dobrze - zakończył. - Postaram się skorzystać - odparłem mile zdziwio-

ny. I to się potem sprawdziło, kto tylko został w terenie, był aresztowany.

Dzień miał się już ku końcowi, gdy zawitałem do kuzynów żony. Przenocowałem u nich i z samego ranka poszedłem na dworzec i wsiadłem na pociąg do Gdańska. Miałem nadzieję, że może uda mi się uciec z kraju. Okazało się to jednak niemożliwe i musiałem skorzystać z pomocy mego znajomego z konspiracji, pana Maciejewskiego, który był w Dyrekcji Gdańskiej dyrektorem wszystkich majątków państwowych. Znałem go stąd, że gdy ~~byłem~~ mieszkałem w majątku, we wsi Dobrzyniówka, to on był w siatce. Miał pseudonim "Jąkawa", bo jąkał się. Często spotykaliśmy się w tym czasie. No co, i jak ci tam poszło? - spytał mnie, gdy spotkaliśmy się. - No, udało mi się, dzięki pańskiej pomocy, na terenie białosockiego /bo w majątku Mroczi spokojnie czekałem do momentu, aż poszedłem do wojska/, no a teraz jestem z partyzantki i muszę się tu gdzieś zamelinować. - Co pracować chcesz, tak ci w lesie zbrzydło? - A gdzie? - W którymś z majątków zatrudnić cię mogę już od jutra. - W rolnictwie to nie bardzo mi się uśmiecha, a z lasem to się zżyłem. Chciałbym w lasach pracować. - Nie martw się. ~~Mamxxxxxxxjxxxxxxx~~ Mój kolega jest dyrektorem Lasów Państwowych w Gdańsku. Jutro pojeździemy do niego.

No i następnego dnia pojechaliśmy tam. Przywiozłem ci partyzanta - powiedział p. Maciejewski do dyrektora - Tak do lasu się przyzwyczaił, że jeszcze chce tam pracować. - Nie ma sprawy - usłyszałem. Dostałem pracę w Nadleśnictwie Elbląg. Gdy tam zajechałem nadleśniczy był już uprzedzony. Czy ma pan coś z gotówki? - zapytał mnie na początku - Bo wszystkie dobre leśniczówki już są zajęte, a w pozostałych trzeba mieć trochę gotówki, żeby przeprowadzić w nich remont., bo brakuje w nich drzwi i okien. Jako, że nie miałem gotówki zdecydowałem się

na pracę w biurze nadleśnictwa i po paru dniach zainteresowało się mną UB. Nadleśniczy powiedział mi, że byli u niego i pytali się co za człowieka zatrudnił. - Odpowiedziałem mu wymijająco, ale wiedziałem już, że będę musiał stąd wyjechać. Panie jak panu się tam nie powiedzie, a tu się uspokoi, niech pan wraca - powiedział na pożegnanie nadleśniczy, ale ~~jak~~ już tam nie wróciłem, jak wsiąknęliśmy we wrocławskie.

-----

Co do wytycznych w kwestii ujawnienia, to nie miałem żadnych. Komenda Obwodu pozostawiła nas samych. ~~Najważniejszym~~ Najważniejszym łącznikiem ~~Komendy~~ Komendy był chyba "wilk", który znał pozostałe łączniczki - Ewę, Basię i Jadwigę - ale nie spotkałem go przy ujawnieniu ani nigdy później. Wydawał mi się podejrzany. wydawało mi się też podejrzane to, że przywoził mi pod koniec rozkazy, które wykonywałem niechętnie, bo wydawały mi się zupełnie niewłaściwe w tym czasie. Podejrzewałem nawet, że Komenda Obwodu nic o tych rozkazach nie wiedziała. Na przykład taką podejrzaną sprawą wydawał mi się rozkaz nakazujący rekwirowanie koni. Dwa razy dostarczaliśmy je na pewien punkt ~~na~~ <sup>aż</sup> Białymstokiem. Były to młode konie zarekwirowane gospodarzom. Po kilku latach od ujawnienia, UB zarzucało ojcu "Pionka", że kradł te konie, bandytyzm itp. Tak, że było to bardzo nieprzyjemne, bo brać konie chłopu, a chłop przecież przywiązany do nich jak do ziemi. Gdybym wiedział, że to jakiś szkodnik, trefny, to bym prędzej rozwalił go, niż zabierał konia.

Decyzję o ujawnieniu też podjęliśmy sami. Termin ~~z~~ końca amnestii zbliża się już, a my nie mamy kontaktu z Komendą Obwodu. Łącznik nie pojawia się. Decyzję o ujawnieniu podjęliśmy więc razem. Oczywiście ostatnie dni przed drugim terminem ujawnienia to wszyscy siedzieliśmy jak na szpilkach. Cały czas

obowiązywało ostre pogotowie. Nawet jak chłopaki bawili się na zabawie w Rafałówce, to posterunki były wystawione.

Zywności nie potrzebowaliśmy rekwirować, bo mieliśmy w swoją. Wszędzie goszczono nas z radością, bo wszędzie byliśmy u siebie. Również ludzie byli zadowoleni, że ujawniamy się, że sytuacja się rozkładuje, bo przecież gdzie my przeszliśmy, to zaraz zjawiał się Urząd Bezpieczeństwa w ślad za nami. Zmuszało nas to do wielokilometrowych nocnych marszy. Często robiliśmy po 12-15 km.

Gdy ogłoszono amnestię wśród chłopaków dało się wyczuć napięcie. Często, gdy zachodziliśmy na melinę, ludzie z siatki pytali się nas: No i co chłopcy z wami dalej będzie? - Byli pełni obaw o nas. Szczególnie starsi ludzie martwili się najbardziej. Oczywiście staraliśmy się kwaterować u najbogatszych gospodarzy, ci więc ~~wyzywaliśmy~~ też najbardziej ryzykowali udzielając nam schronienia, gdyż przecież szpicli było już coraz więcej. Białorusini robili się coraz bezczelniejsi. Otwarcie nas nienawidzili. Miało to swój początek jeszcze za pierwszych sowietów, potem za Niemców w Białymstoku był Komitet Białoruski - zaczęło różnicowanie Polaków i Białorusinów w najdrobniejszych nawet sprawach. Np. Polak nie dostał papierosów a Białorusin dostał. Z wieloma innymi rzeczami było podobnie.

-----

Urodziłem się i mieszkałem w Rafałówce. Gdy sowieci wkroczyli we wrześniu 1939 r. zaraz aresztowali mego ojca, który był urzędnikiem państwowym, i wywieźli go. Wiosną 1940 r. wywieźli moją matkę. Zostałem sam. Musiałem się ukrywać. Schronienie znalazłem w leśniczówce państwa Wróblewskich koło Czarnej wsi. Tam latem 1940 r. zetknąłem się z organizacją. Od tego czasu zostałem członkiem ZwZ. Przysięgę złożyłem na ręce

pana Wróblewskiego. Zostałem wysłany jako łącznik do księdza w Supraślu. Gdy tam dotarłem dowiedziałem się od księdza, że w okolicach Czarnej Wsi nastąpiła wsypa. Zdradził jakiś nauczyciel. Powiedziałem mu, że ukrywam się, ~~przek~~ oddałem meldunek, po ciele. ~~Na wszelki wypadek wynieśli~~ ~~Supraśl~~ ~~uciekłem~~ ~~W ten~~ ~~czym~~ ~~przeprosiłem~~ ~~go~~ ~~i~~ ~~poszedłem~~ ~~z~~ ~~powrotem~~. Chciałem wrócić ~~sposób~~ ~~straciłem~~ ~~kontakt~~ ~~z~~ ~~organizacją~~ ~~z~~ ~~nowo~~ ~~zaczęło~~ ~~się~~ ~~na~~ ~~do~~ ~~leśniczówki~~ ~~państwa~~ ~~Wróblewskich~~, ale gdy już byłem blisko, ~~kryjąc~~ ~~przez~~ ~~las~~ ~~idąc~~ ~~leśną~~ ~~drogą~~, zauważyłem, samochód-więźniarkę, który stał niedaleko leśniczówki. Dostałem wielkiego pietra i czym prędzej uciekłem. Wróciłem na swoje tereny, w okolice Rafałówki. Spotkałem kolegę, z którym ukrywaliśmy się po znajomych. W ten sposób straciłem kontakt z organizacją.

Na nowo zaczęło się wszystko, gdy Niemcy uderzyli na Rosję w czerwcu 1941 r. Wróciłem wówczas do domu. W tym czasie byłem <sup>Jeszcze w 1941 r.</sup> już żonaty. Zaprzysiął mnie por. Franciszek Pahl "Kruk", nauczyciel z Rafałówki, który pochodził z okolic Krypna. Miał kolegę w Dobrzyniówce, też rezerwistę, ale w stopniu szeregowego chociaż też nauczyciel a to dlatego, że był przeciwnikiem pa-nacji a Pahl był zwolnennikiem Piłsudskiego. "Kruk" zaprzysiął wówczas i moją żonę, bo moje mieszkanie dobrze ~~się~~ nadawało się na punkt konspiracyjny, bo byliśmy młodym małżeństwem i nie ~~mieliśmy~~ mieliśmy jeszcze dzieci. Żonę zaprzysiął dlatego, żeby - związana przysięgą - ~~nie~~ nie wygadała się gdzieś niepotrzebnie. U nas był punkt kontaktowy komendanta obwodu "Szarego". Trzy razy był u nas. Nie pamiętam już jaki żona miała pseudonim. Mój brzmiał "Błysk".

W czasie składania przeze mnie przysięgi obecny był szef Ke dywu - Jan Prończuk "Czarny". Później wpadł na punkcie w Białymstoku. W czasie śledztwa nikogo nie wydał. Potem, jak się do wiedzieliśmy, znalazł się w obozie koncentracyjnym, gdzieś w gdańskim czy szczecińskim. Gdy został aresztowany, to przesł



traszyliśmy się, czy nie zaczną się wśród nas aresztowania, ale było spokojnie, więc wróciliśmy do pracy w konspiracji.

Moje gospodarstwo wydzierżawiłem szwagrowi, który wraz z moją siostrą stryjeczną pracował na nim. Wywiązywał się z zobowiązań - sołtys zresztą patrzył przez palce na to - nie miałem więc z niemieckimi władzami żadnych zatargów. Pędziłem również bimberk, który mój kolega - kierowca amstkomisarza - zawoził w kanistrach do Białegostoku i sprzedawał ~~na~~ ~~xx~~ ~~xxx~~ Do moich zadań w organizacji należał wywiad na terenie gminy Zabłudów, chociaż sięgałem także aż do gminy Michałowo. Pewnie wchodziłem w kompetencje tamtejszego wywiadu, ale kontaktu z nimi nie miałem. Wywiad obejmował zbieranie wiadomości o ruchach niemieckich sił: wojska, policji i żandarmerii i miejscach ich stacjonowania.

Na naszym terenie pojawiały się też oddziały partyzanckie z Warszawy. Jeden z nich miał potyczkę pod Czarną Wsią, gdzie jeden z jego oficerów został ranny. Z komendantem naszej placówki "Krukiem" odwieźliśmy go do szpitala w Białymstoku. Zostawiliśmy go na punkcie kontaktowym, skąd już nasi ludzie zabrali go do szpitala. Oddział, który liczył około 30-tu ludzi, zakwaterowany został na kolonii Rafałówka, pod wsią Kamionka, u dwóch rodzin: Lulewicze i Kościuki.

Chłopaki z tego oddziału byli załamani po tej potyczce. Nie przestrzegali już dyscypliny, pomimo naszych surowych zakazów rozkaszili się po całej wsi. Byli dobrze uzbrojeni. Mieli dużo lekkich karabinów maszynowych i automatów. "Kruk" był zaniepokojony tą sytuacją. W końcu część oddziału poszła na własną rękę w kierunku Puszczy Białowieskiej. Były z nimi też sanitariuszki. Zaraz porozwieszały na sznurach swoją uprnaną bieliznę. Był to więc kwiecień lub maj 1943 r. Od tego czasu

na naszym terenie był spokój aż do czasu przyjsicia Sowietów w lipcu 1944 r.

W wywiadzie pracowali dla mnie m.in. "Pionek" i Jan Prokopowicz, który potem naprowadził Sowietów na mój dom. "Pionka" Znałem go sprzed wojny, ale luźna to była znajomość. sam zaprzysiężyłem. Z "Czarnym" zaprzysięgałem w Zabłudowiu Michała Szylkiewicza. "Pionek" obsługiwał Polwarki Małe i Duże, Zabłudów - Szylkiewicz, w Rudnicy też kogoś miałem. Ieś-czy Krauze i Jaworowski też pracowali dla mnie. Jawo rowski później zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Dane zebrane przez nich przekazywałem dla "Kruka".

-----

Gdy Rosjanie zaatakowali nas na Satrym Majdanie w lipcu 1945 r. to my już od rana wiedzieliśmy, że coś będzie. Nie byliśmy więc zaskoczeni całkowicie, jak to niektórzy mówią /Jasio to powiedział mi tylko - wspomina żona p. Piłaszewicza - tu kule latają, tu strzelają dokoła Ruscy, a twój mąż siedzi pod drzewem i je/. "Pionek" też twierdzi, że uderzenie to spowodowało u nas panikę. A przecież wysłaliśmy patrole na wszystkie strony i patrol, który poszedł w kierunku Gródka i Michałowa ostrzelał ~~z~~ <sup>który wyrócił się.</sup> ~~z~~ sowecki samochód. Zginęło tam dwóch Sowietów - kierowca i żołnierz. Chłopcy wrócili do oddziału zadowolone z dobrze przeprowadzonej akcji i zadanych Sowietom strat. Gdy wróciły pozostałe patrole, żołnierze zgłosili, że wszędzie widzieli sowieckie wojska, wzmocnione tankietakami. Niedługo potem pojawiła się sowiecka tyraliera. "Musat" rzucił pierwszą drużynę do odłony obozu, a reszta w tym czasie miała przygotować się do odskoku. Zaczęliśmy wycofywać się w kierunku Pałatki. Niestety nie zdążyliśmy już zabrać naszego taboru, czyli kuchni i chyba dwóch fur. Brodem przeszliśmy rzekę Supraśl. W tym czasie pierwsza drużyny powstrzymywała sowiecką tyralierę. Rosjanie mieli zabitych i rannych. Niektó-

rzy ludzie z siatki mówili, że dużo zabitych mieli Rosjanie, ale ja tego nie widziałem. Tak, że ten atak sowiecki na nas mógł być sprowokowan przez nasz atak na ich samochód z rana tego dnia. Tak to przynajmniej wyglądało.

Gdy nasze patroli wracały tego dnia rano do obozu i składały meldunki dla "Murata" maldunki, to byłem ~~widział~~ obok niego i słyszałem wszystko. A ten, który wracał spod Gródka, to Sowieci szli mu niemal dosłownie na piętach. Tylko zameldowali i zaraz atak się zaczął. Wycofaliśmy się wtedy w kierunku na Pałatkę, Cieliczankę, na drugą stronę lasów knyszyńskich.

Natomiast gdy wracaliśmy ze zgrupowania od mjr. "Jerzego" to pogubiliśmy się. Gdy znaleźliśmy się na łąkach przy Supraśli, to jakiś cywil szedł przed nami i machał do nas rękę jakby pokazywał, jak mamy iść za nim.

Gdy zaszliśmy na zgrupowanie, to wszystkie drogi, które tam prowadziły były zagrodzone zwalonym drzewem. Partyzanci specjalnie porobili te zatory. Po przyjsciu na miejsce nasza kompania dostała odcinek do obrony. Zajęliśmy stanowiska ogniowe. Również wystawiliśmy tam ~~pat~~ warty. Przy drogach ustawiony był przeważnie erkaem. Rozrzućeni byliśmy na dużej przestrzeni w odległości wzrokowej jeden od drugiego. W ten sposób zabezpieczaliśmy kierunek południowy, od Supraśla. Rano nastąpiło uderzenie Sowieców, chyba z kierunku północnego. Potem ta jednostka, która zaatakowała chyba się wycofała, bo zaczęło się ostrzeliwanie przez artylerię. Myśmy przyszli tu ~~parę~~ kilka dni wcześniej. Mieliśmy już za sobą akcję: zaatakowaliśmy kompanię gospodarczą WP, która przyjechała do jednej ze wsi /być może były to Krynki/ po drzewo. Dołączył do nas na czas tej akcji podchorąży "Jot", który dołączył ze swoją drużyną. Zostałem do niego przydzielony. Gdy wojsko nadjechało daliśmy

salwę w górę. Ci którzy byli najbliżej nas wpadli w panikę i poddali się, natomiast pozostała część - bo oddział ten jechał długim sznurem - rzuciła się do ucieczki. Wówczas "Jot" przegonił z furmanek tych co poddali się, kazał swojej drużynie nie załadować się na nie i pognął w ślad za uciekającymi. Podobno aż pod Łapy zagonił się. Żołnierzy tych, którzy poddali się, rozbroiliśmy i rozmundurowaliśmy a jednego - chyba żydka - zlikwidowaliśmy. Do niewoli naszej dostało się około 30-40-tu żołnierzy, drugie tyle uciekło. Dwóch oficerów, w stopniu podporucznika, przyłączyło się do nas. Kazano im tylko zdjąć gwiazdki, bo nie zchonorowaliśmy ich stopni, ale i tak ~~zaliczali~~ zaliczali się do elity i kręcili się cały czas koło dowódcy - "Murata", bo zostali u nas. Gdy była demobilizacja to prawdopodobnie skorzystali z niej.

Podobno właśnie ta nasza akcja pod Katrynką przyspieszyła atak Sowietów pod Ogólkami w kilka dni później. Jak był ostrzał tej ich artylerii to nie wyrządził on nam żadnych szkód, bo strzelali na oślep. Miało to znaczenie jedynie psychologiczne. Wówczas to właśnie "Jerzy" podjął decyzję o rozczłonkowaniu zgrupowania, i nasza ~~kompania~~ kompania poszła na wschód.

Życie w zgrupowaniu toczyło się według ustalonego schematu. Rano, około godz. 5, wraz ze wschodem słońca, była pobudka. Potem kompanie ustawiały się do apelu porannego w dwuszeregu. ~~Odśpiewanie~~ Po odczytaniu rozkazów na ten dzień i odśpiewaniu hymnu "Kiedy ranne wstają zorze" kompanie rozchodziły się do miejsc swego zakwaterowania. Potem było śniadanie. Następnie musztra. Na obiad była zupa i ziemniaki z mięsem. Tak, że głodu to nie mieliśmy. Tak samo było potem i w moim oddziale. Jak pojawiały się rydze to mięso robiliśmy w sosie z rydzów. Na śniadanie i kolację przeważnie była kawa i chleb ze smalcem

Masło pojawiało się alerżadko. Oczywiście inaczej to wyglądało gdy byliśmy u jakiegoś gospodarza na melinie.

Nasza kompania, w czasie pobytu na zgrupowaniu, nie wysyłała patroli. Pełniliśmy tylko służbę wartowniczą. Kompanią gospodarczą była chyba kompania 1. Potem pamiętam, że gdy chcieliśmy zająć kwatery w jakiejś wsi, gdzieś w tych okolicach to przez łącznika dowiedzieliśmy się, że niedaleko nas stacjonuje oddział "Bohuna", który przyszedł tu z wileńszczyzny. Był akurat po jakiejś bitwie z UB, czy może na to się zanowiło, musieliśmy więc opuścić czym prędzej niepewny teren.

-----

Często bywaliśmy w takich wsiach jak: Zajezerce, Kamionka, w Łukianach zaatakowaliśmy bunkier niemiecki - to było jeszcze za niemieckiej okupacji, Tatarowce, Bobrowo, Bobrowiki, przesłakiwaliśmy na Hermanówkę, Krynickie, Juchnowiec, Lewickie, Skrybicze, Turośl Kościelna, zachodziliśmy aż pod Suraż. Kwaterowaliśmy też w Topolanach, Łazzachy Bór, Trościanka aż pod Narew, pod Michałowo i Gródek. W okolicach Gródka są bagna, na których siedzieliśmy. Niedaleko była wieś Pienki. ~~Tambyła~~ Byliśmy tam na jesieni 1946 r. Pamiętam jak zaszedliśmy ~~kan~~ do jakiegoś Białorusina. Spokojnie siedział przy stole jak weszliśmy do środka. Otworzyłem drzwi do komórki a tam stoi rosyjska 10-cio strzałowa "samozariadka". To ty cholero tak nas popierasz? - To miał szczęście, że trafił na mnie, bo nic mu nie zrobiłem, gdyby tak trafił na "Małego", albo kogo innego to byłoby po nim. Ale i tak zginęło wtedy parę osób.- konfiden- ci i partyjni - szczególnie agresywni. Przeznaczonych do likwidacji podawała siatka. Podawała też kto zasłużył na baxty. W tym wypadku wydawanie wyroków należało do mnie jako do dowódcy oddziału. Z Komendy Obwodu nie przychodziły żadne rozkazy w tym względzie. Byliśmy jakby samodzielnym oddziałem.

Natomiast Komenda pamiętała o nas jak trzeba było odesłać do nich pieniądze zdobyte w jakiejś akcji. Jak byliśmy w zgrupowaniu "Jerzego", to on otrzymywał jeszcze zasiłek dolarowy na oddziały. Wiem o tym stąd, że gdy zginął "Grom" to jak plut. "Zak" z jeszcze jednym wyjmowali mu z kieszeni różne rzeczy to znaleźli też dolary, jakie dostał na nasz oddział. Co się z nimi dalej stało nie wiem. Po demobilizacji już nic nie dostawaliśmy. Musieliśmy być samowystarczalni. Jego śmierć przypisuje się "Markowi", ale czy tak było to nie wiem.

-----

Wracając do akcji w Michałowie to wyroki wykonywał osobiście "Łoza" a oddział był tam cały, nie tylko drużyna "Pionka". Musieliśmy ubezpieczyć się od strony Gródka, gdzie stacjonował oddział Sowiecki no i od strony Białegostoku oczywiście. Mieliśmy erkaem "Diegtiarowa" i dwa niemieckie lgm - lekkie karabiny maszynowe. To była pierwszorzędna broń. Szybkostrzelna i niezawodna w odróżnieniu od diegtiara., który lubił się zacinać. Nosił go początkowo "Skowronek", ale w 1946 r. wpadł gdy poszedł na urlop do rodziny. Przyjechało UB, kotoczyło dom i po walce wzięli go rannego. Do lmg nie było stałej obsługi. Często obsługiwali je "Pionek", "Mały", "Duch", chociaż ten wolał kbk, których mieliśmy tylko kilka, gdyż większość miała automaty: pepeszki, mieliśmy też takie jak steny, z bocznym magazynkiem - ja i "Pionek" mieliśmy takie, oprócz tego oczywiście mieliśmy broń boczną - pistolety. Granatów nie mieliśmy dużo. Były to niemieckie granaty, któryek można było nasadzać na lufę karabinu i wystrzeliwać jak z ręcznego moździerza. Takich urządzeń oczywiście nie mieliśmy. Miały one tę wadę, że były bardzo delikatne. Trzeba było uważać przy obchodzeniu się z nimi. Na tym tle właśnie w Lewickich wydarzyło się nieszczęście. Chłopak poszedł na urlop do domu /czy

może na patrol?/, spotkał kolegów, ci zainteresowali się tym granatem, jako że różniły się one od tych najczęściej spotykanych. Zeby nałożyć go można było na lufę karabinu trzeba było najpierw odkręcić nakrętkę znajdującą się na tym granacie. I ten chłopak zrobił to, żeby pokazać kolegom jak to wygląda. A granat po odkręceniu tej nakrętki był bardzo czuły na wstrząsy i wybuchł mu w rękach. Chłopak zginął a kilku jego kolegów zostało poranionych. To było w 1946 r.

Najgroźniejsza była dla nas zima. Siedzieliśmy wtedy w ziemiance. Wychodziliśmy na zewnątrz tylko gdy była burza, żeby nie zostawiać śladów na śniegu. Tak samo wracając z akcji staraliśmy zacierać za sobą ślady, bo gdyby pozostały to byłoby równoznaczne z naszą zagładą. Ruch mieliśmy więc ograniczony. Był taki oficer UB, który w Zajmie koło Zedni miał rodzinę. Widzieliśmy go jak co tydzień przyjeżdżał tu pociągiem i szedł przez las do domu, do rodziny. Nieraz więc padały głosy, żeby go zlikwidować, ale uważałem, że jest to niepotrzebne. Był to już przecież okres, w którym nastawieni byliśmy w zasadzie na przetrwanie. Ganialiśmy co prawda kontyngentobiorców, przemawialiśmy do rozsądku wójtom i sołtysom, czy czynnym aktywistom ale to było wszystko. Naszym głównym celem było przecież przetrwanie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że sami nic tu nie zwojujemy. Co z tego, że zajmiemy jakieś miasteczko na godzinę czy dwie, ale utrzymać go przez cały dzień było już niemożliwe. Tym bardziej, że pod koniec UB to już miało dosyć sprawny system łączności. Byli w niecałą godzinę po nas w Zabłudowie, gdy rozbiliśmy tam administrację. W oddziale było tylko kilku takich co to kleiło się im do rąk i chętnie jeszcze powojowaliby w ten sposób nie oglądając się na amnamię, ale reszta chłopaków poszła do lasu z zupełnie innych powodów i chciała wrócić do

domu, do normalnego życia jak najprędzej to będzie możliwe. Wobec naruszających nasz wewnętrzny regulamin przyjęty był ustalony tryb postępowania: ostrzeżenie, kara chłosty i gdy delikwent nie wykazywał dalszej poprawy dostawał kulkę w łeb. Był taki jeden wypadek w oddziale. Kara chłosty wymierzona była kilkakrotnie. Np. Taki "Zołędź", ~~z~~ który pochodził z okolic Michałowa to dwukrotnie dostał karę chłosty. Ostatnim razem dostał 25 batów z zastrzeżeniem, że następnym razem to już nie będzie miał takiej szansy. To był taki nasz kodeks. Nie było innej rady, bo inaczej nie utrzymalibyśmy się długo w terenie. Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby taki jeden z drugim poszli niby na urlop do rodziny a w rzeczywistości obrabowali sąsiada czy kogo innego. Raz, że podrywali nasz autorytet, a dwa, że bez pomocy tych ludzi nie mielibyśmy żadnych szans.

Droga Białyrostok - Folwarki była bardzo ruchliwa. Jeździło nią wielu rolników na jarmark do Bialegostoku. Gdy wracali wielu z nich miało ~~z~~ oczywiście przy sobie większą gotówkę, lub zakupiony towar. I dostałem któregoś razu wiadomość, że na drodze tej grasuje badycka grupa, która udając partyzantów rabuje chłopom wszystko co wiźli na furmankach. Musiałem zareagować na to szybko i jak najsurowiej. wysłałem patrol. Wiedziałem już gdzie jest ich melina i wiedziałem też, że po każdej takiej akcji lubią popić sobie zdrowo i śpią. Patrol wziął ich więc spitych bez żadnych problemów. Jeden z nich pochodził z Rafałówki - mojej wsi - drugi zaś z sąsiedniej Kamionki. Tych powiesiliśmy ~~pr~~ na przydrożnych drzewach, natomiast pozostałych dwóch puściliśmy wolno, po uprzednim wychłostaniu. Dopiero od niedawna byli w tej bandzie i nasz sąd ułaskawił ich. Wzięliśmy ich w rozparcelowanym majątecz-



ku Borowiki, w lesie między Rafałówką a Protasami. Tam była ich melina. Brat jednego z tych powieszonych był <sup>przed wojną</sup> instruktorem w strzelcach. Ja zaś byłem członkiem strzelców i znałem go stąd. Z wojny wrócił jako inwalida i teraz musiałem jego brata kazać powiesić. Nie było jednak wyjścia. Bandyci zachowywali się w stosunku do chłopów bardzo brutalnie. Nie dość, że rabowali ich, to jeszcze bili, kopali tych poszkodowanych. Raporty z siatki miałem na ten temat bardzo dokładne. Wiedziałem kto, gdzie i kiedy co zrobił. Targi były we wtorki i piątki. I w te dni rabowali ci rabusie. Ta cała sprawa była chyba w 1946 r.

-----

Jeszcze wracając do akcji w Michałowie. Gdy tam przyszliśmy to milicjanci siedzieli na posterunku cichutko. Nosa nie wystawiali na zewnątrz. My w tym czasie zajęliśmy się rozbięciem spółdzielni, gdzie mogliśmy zaopatrzyć się w żywność. To było przecież nasze podstawowe źródło. W tym czasie ~~xxxxx~~ ludzie z miejscowej siatki składali mi meldunek o tym jak zachowują się milicjanci z tutejszego posterunku. "Łoza" i jeszcze jeden, gdy to usłyszeli powiedzieli: To my pójdziemy. Złatwimy ich. - Od milicjanta, który był naszą wtyczką wśród załogi posterunku, dowiedzieli się, gdzie dokładnie odbywa się odprawa, w którym pokoju i w którym miejscu siedzi komendant posterunku, bo to o niego chodziło. Milicjant z jednym z nas został na ubezpieczeniu a "Łoza" podszedł do okna i pociągnął serię. Zginął komendant i jeszcze jeden milicjant. Wcześniej, na wsi, dostał w łeb członek PPR-u, - wszyscy byli zaciętymi Białorusinami, bardzo dla nas niebezpieczni. Gorliwie współpracowali z UB. Milicjanci to czuli się już w Michałowie za bezpiecznie. UB już kilka razy tam zajeżdżało, to byli tak pewni siebie, że nawet warty nie wystawili przed poste-

runkiem. Nie wiem tylko czy wykonane zostały moje rozkazy dotyczące przecięcia drutów telefonicznych do Gródka i Białegostoku.

Prostuję: Wykonanie wyroku na komendancie MO w Michałowie i jeszcze jednym milicjancie przez "Łozę" i jeszcze jednego partyzanta w wyniku usłyszenia przez nich meldunku ludzi z siatki miało miejsce jakiś miesiąc później. W Gdy zajęliśmy Michałowo w listopadzie 1945 r. to już wcześniej były wydane wyroki na komendanta posterunku i jednego członka PPR-u. Ten drugi wyrok, wykonany przez "Łozę" był albo w grudniu, albo wiosną 1946 r.

W moim oddziale były dwie drużyny. Jedną dowodził "Duch", a drugą "Pionek". Początkowo jej dowódcą był "Orzeł", ale był niezdyscyplinowany, lubił wyskoki. ~~xxxxxxx~~ Wtedy, gdy zabił tego ruskiego oficera, to on wybrał się na lewy skok, na własną rękę. Po prosu poszedł na rabunek do Białorusinów w kierunku Rybołów. I tam przypadkiem natknął się na tego Sowietę, którego zastrzelił. On był szybki do tych spraw. Daltego jeszcze przed listopadem 1945 r, przed akcją na Michałowo, zastąpiłem "Orła" "Pionkiem" na stanowisku dowódcy drużyny.

Do oddziału należeli m.in.: "Łoza" - Aleksiejczuk, "Gołab", "Wiarus", "Stryj", Popiołek "Górski" - jego kolegą z tej samej wioski Bobrowniki był "wiarus", "Osa" Dakowicz pochodził z Folwark, jego kolegą był "Smutny", "Czarny", który był moją stałą ochroną - byłby obrażony na mnie gdyby dowiedział się, że ja gdzieś ruszam się bez niego. /"Czarny" żyje w Białymstoku. Jego żoną jest dziewczyna, którą poderwał na leśniczówce. "Pionek" zna go bardzo dobrze/, "Mały" - Daniluk Stanisław - nie żyje już, "Stryj" a nie "start", "Waldemar" pochodził spod

Białegostoku, z tej samej okolicy co "Masław". Ten to w przeddzień ujawnienia przyjechał do mnie i groził mi, że w razie gdybym poprowadził oddział do ujawnienia, to grozi mi wyrok śmierci. Odpowiedziałem mu, że póki co to z bronią chodzę, a co potem będzie, to zobaczymy. To znaczy przez łącznika tak mi przekazał. Wtedy jak powiedziałem "Pionkowi" i "Małemu" z czym ten facet przyjechał, to chcieli go rąbnąć na miejscu, w Rafałówce.

Jak rozmawiałem niedawno z tym "Masławem", to miał pretensję do mnie, że poszedłem do wojska, a przecież co miałem robić. Wszystkie punkty były popalone. Gdzie nie zjawiałem się, to czułem, że ludzie niezbyt chętnie mnie przyjmowali, bo wiedzieli, że na ~~przeprawach~~ innych melinach były aresztowania. Co więc miałem robić? Dalej chodzić po melinach i narażać ludzi? Wolałem tak odskoczyć, żeby ślad za sobą zatrzeć. Zgłosiłem się więc do wojska i w ten sposób trafiłem do szkolonego batalionu lotniczego. Miałem być awiomechanikiem. Jako, że znałem trochę Ruski więc nie miałem kłopotów z dogadaniem się z sowieckimi oficerami. Uczyłem się dobrze. No i dowódca kompanii, Rusek, postanowił dać trzem żołnierzom urlop na odwiedzenie rodzin. W tej trójce znalazłem się i ja. W maju 1945 r. przyjechałem do domu w Rafałówce. Zaraz przyszli do mnie kumple i pytają: No i jak tam w wojsku? Z nami czy przeciw nam?. - Z wojska przyjechałem w mundurze lotnika i bez broni a u nich zaraz dostałem nowiutki automat z bębniem zawierającym 72 naboje. Pożegnałem się z żoną i poszedłem do lasu. Oczywiście chciałem, żeby wyglądało to na porwanie, więc urządziłem na umówiony dzień przyjęcie. Przyszedł Prończuk, kolega ojca niejaki Nosorowski i jeszcze ktoś. Gdy przyszli partyzanci, to niby opierałem się zanim mnie zabrali pra-

partyzanci niemal siłą. Nie spodziewałem się jednak, że jednostka szkolna przyśle po mnie patrol. Jeden podoficer i dwóch kursantów. Przyjechali do ~~mnie~~ do domu, potem do Zabłudowa ~~maxRKH~~ i na milicję i na RKU w Białymstoku, tak, że byłem kompletnie spalony i od tego czasu figurowałem w ich kartotekach jako dezertter.

W ~~1945~~ ~~xxx~~ w 1946 r. gdy UB aresztowało moją żonę, brata czy kogoś innego z rodziny "Pionka" to musieliśmy zareagować na to. Więc ~~xxxxxxx~~ udaliśmy się do jednej z białoruskich wsi, do rodziny jednego z ubeków, bo ci ubecy wywozili się przeważnie z miejscowych Białorusinów, ~~weissrusów~~, jak ja ich nazywam. Tam powiedziałem im, żeby przekazali dla swego syna i innych, że jeżeli będą łapami sięgać do naszych rodzin, to wtedy i im tu miejsca nie będzie. Poszliśmy tam z całym oddziałem i pokazaliśmy, że jesteśmy dobrze uzbrojeni i umundurowani. Przedstawialiśmy więc jaką siłę, której nie należało lekceważyć. Przy okazji zaopatrzyliśmy się w żywność u Białorusinów. Moją żonę wypuszczono zaraz następnego dnia. Brata "Pionka" również wypuszczono.

"Jeleń" był z Topolan, z tej samej okolicy co i Janeczek. "Słowik" to był blondyn. U niego w domu zorganizowałem spowiedź generalną dla wszystkich moich żołnierzy. Pożyczył u sąsiada konia i pojechał po wikarego. Ten przyjechał chętnie i cały dzień spowiadał nas. Każdy dostał rozgrzeszenie. Ulżyło to chłopakom. Poprawiło samopoczucie. Wikary obawiał się swego proboszcza więc następnego dnia pojechał do ojca "Słowika", żeby naprawdę wyglądało, że wyjechał do ciężko chorego. To było na kolonii Dobrzyniówka w kierunku na Zabłudów. Jego sąsiadami byli Roguccy, dalej mieszkał jakiś Białorusin.

"Rola" pochodził z Folwarków. "Smiały" pochodził z okolic

wsi Lewickie, spod Białegostoku.

Za rozwidleniem dróg w kierunku na Michałowo, koło Królowego Mostu, stał w lesie sowiecki punkt łączności. Mieścił się w bunkrze. Mieli połączenie z jednostką sowiecką w Michałowie. To musiało być latem 1946 r. Stacjonowaliśmy wtedy na skraju lasów knyszyńskich, na koloniach wsi Dobrzyniówka. Spaliśmy właśnie w <sup>na sianie</sup> stodołę na kolonii u Pełżyńskiego. ~~Kolonie~~ ~~ki~~ Zabudowania stały skryte dobrze w lasku. Gospodarstwo było dobrze utrzymane, czyste. Raptem przybiegł do nas chłopak od Matwiejczuków, których gospodarstwo było położone po drugiej stronie drogi. Chłopak przybiegł z prośbą o pomoc, bo: Tam Ruskie rabują. Czym prędzej więc wysypaliśmy się ze stodoły i pobiegliśmy na pomoc. Sowieci pierwsi otworzyli do nas ogień. Któryś z nas pociągnął po nich serią z automatu i jeden z  ~~nich~~ nich padł trafiony a drugi uciekł. Drań miał szczęście bo "Duch" strzelał do niego chyba ze trzy razy z kabeka i nie trafił. ~~Wtedy~~ Niedługo potem nadjechał oddział sowiecki i zabrali tego zabitego, po czym postrzelali trochę po lesie, ale nie wchodzili w jego głąb. Ci dwaj sowieci byli właśnie z tego punktu łącznościowego. Od tej pory już więcej nie wyprawiali się na rabunek, przynajmniej ten jeden z tego punktu, co przeżył. Chłopi mogli trochę odetchnąć. Myśmy w tym czasie odskoczyliśmy w głąb lasu. Przecieliśmy szosę za wsią Tatarowce a oni właśnie przyjechali na ten skraj lasu. Trochę pojedźdżili tam, postrzelali i wrócili. A jeden z naszych został ranny, gdy biegliśmy do Matwiejczuków. Na szczęście postrzał był czysty i bez komplikacji. Kula weszła i wyszła gładko między ramieniem a barkiem. Chłopak jednak rozpłakał się. Dostał szoku. Nic dziwnego, w końcu był najmłodszy w oddziale. Jak miał 17 lat to było wszystko. Poszedł do domu leczyć się.

Po tygodniu rana już zagoiła się tak, że prawie śladu nie było widać. Zauważyłem jednak, że chłopak już nie czuje się najlepiej w lesie, postanowiłem więc po tygodniu zwolnić go do domu. Jest różnica jak żołnierz jest ostrzelany a jak jest ranny. Ten drugi psychicznie jest już mniej odporny. Wyszedłem z założenia, że nie ma potrzeby, żeby taki młody dalej nadstawiał głowy. Nie był nawet spalony. Po prostu imponowało mu, że walczy w lesie z bronią w ręku. Miał pseudonim X "Zuk" i wyglądał jak K żuk.

"Gołąb" pochodził z Wileńszczyzny. Czy nie był przypadkiem u "Łupaszkii". Przeszedł do nas. Chodził u nas aż do kwietnia 1947 r. Niedługo przed ujawnieniem oddalił się z miejsca postoju i znikł. Kamień w wodę. Nie wiedzieliśmy co się z nim stało. Były różne domysły. Najbardziej oczywisty wydawał się ten, że poszedł na UB zasypać wszystkich, bo to było niedługo po aresztowaniu "Skowronka", który jednak nic nie powiedział ~~na~~ na śledztwie. Wiedzieliśmy też, że w jednej ze wsi miał dziewczynę, z którą miał niedługo się ożenić. Może miał jeszcze jedną dziewczynę w drugiej wsi i tam uciekł? Do dziś nie wiem co się z nim stało.

Z oddziałem "Łupaszkii" to ocieraliśmy się co jakiś czas o siebie. Pewnego razu rozbroiliśmy na Majdanie 6-cioosobowy patrol "Łupaszkii". Nie mieliśmy jednak wyjścia. Byłem wtedy z kilkoma chłopakami na gajówce, to była księżycowa noc, gdy zauważyliśmy, że grupa nieznanym nam ludzi zbliża się do nas. Ustawiliśmy się odpowiednio i kazaliśmy leśniczemu wpuścić ich do środka. Gdy weszli do środka spytali go czy nikogo nie ma i poprosili o wodę. Chcieli się napić. Gdy leśniczy podawał im wodę w tym czasie my ~~wystraszyci~~ pokazaliśmy się i kazaliśmy im podnieść ręce do góry. Zkonsternowani podnieśli ręce do

góry, ale zaraz poznali po naszym uzbrojeniu, że nie trafili w ręce UB. Zabraliśmy im jednak broń i zaczęliśmy wypytywać: dokąd idą i z jakiego oddziału są. Początkowo nie chcieli mówić, ~~nie~~ - myśleliśmy więc, że może są od "Bohuna", który operował przecież w tym samym kompleksie leśnym - ale w końcu przyznali się, że są od "Łupaszi". Nasze wypytywanie trwało około pół godziny. Gdy w końcu wyjaśniła się pomyłka usiedliśmy do wspólnej, obfitej kolacji. Zaraz oczywiście oddaliśmy im broń. Pojawił się bimberk i zbrataliśmy się, składając sobie nawzajem życzenia. Dowódca tej grupy, młody ~~oficer~~<sup>chłopak</sup>, nie mógł darować sobie, że tak dali się podejść: Tyle przejść mieliśmy - mówił - i nigdy łap nie podnieśliśmy, a tu tak nas załatwiliście. Ze mną byli wtedy: "Pionek", "Czarny", "Mały" i "Górski". Czyli było nas 5-ciu. To było zimą 1946 r. - luty albo styczeń. Snieżna była ta zima.

Wracając jeszcze do tego "Gołębia" to kilka dni przed swym zniknięciem wydawał mi się jakiś osowiały. Myślałem, że to może na tle jego miłostek, jakichś w tym niepowodzeń. To był wysoki przystojny chłopak. W końcu ta jego narzeczona nie doczekała się go i wyszła za innego partyzanta.

W Słomiance mieliśmy pewną melinę. Mieszkała tam moja matka chrzestna. To była moja kuzynka. Nazywali się Nosorowscy. Mieli chłopaka, który należał do siatki. Miał na imię wacek. Często przechodziliśmy tamtędy i zawsze nas tam mile przyjmowano. Czasami, gdy sytuacja była wyjątkowo ciężka, rozpuszczałem oddział na meliny. Tak zrobiłem m.in. na początku 1947 r. Byłem wtedy tylko z "Czarnym". Zaszliśmy tam, do Nosorowskich. Poczęstowano nas kolażką. Mieliśmy zamiar zaraz iść dalej, przez Rudnicę do lasu, korzystając po drodze z następnych melin. Uzbrojeni byliśmy w automaty. No i diabeł podkusił, że

zaczęliśmy rozmawiać o tym, że ta broń maszynowa to nam właściwie na melinach nie potrzebna. Wystarczą nam pistolety. I ~~xxxxxxx~~ gdzie by tu ją schować? - zastanawiałem się na głos. I ten młodzieńczyk usłyszawszy to zaraz zaoferował się z pomocą: Dajcie, ja wam to schowam. No i my daliśmy mu te nasze automaty. Do dzisiaj tego nie mogę odżałować. Tak samo "Czarny". W tym czasie zaczęła się wielka obława UB w terenie. Oczywiście najpierw zaczęli od miejscowości podleśnych. wpadli do Nosorowskich, straszliwie zbili ojca i wacka: Byli tu partyzanci? Byli tu bandyci? - dopytywali się i po oczach chłopca zorientowali się, że on coś wie. Jak zaczęli go katować, to chłopak przyznał się, że byliśmy. Podał nasze pseudonimy i przyniósł też naszą broń. Został oczywiście aresztowany i w trybie doraźnym skazany na karę śmierci. Ojciec oczywiście zaraz wynajął adwokata, ale ten nie mógł nic pomóc. Tylko Bierut mógł ukłaskawić chłopaka. I tak się stało. Karę śmierci zamieniono mu na dożywocie. Później widziałem się z nim. Opowiadał swoje przeżycia. Jak mówił, już nie miał pretensji do mnie, bo przemyślał to sobie i doszedł do wniosku, że to wyłącznie jego wina, bo przecież tej broni nikt nie kazał mu brać, ale jego matka do ~~ka~~ śmierci nie mogła mi tego darować.

"Skowronek" pochodził z okolic Grodna. Był wysoki, silny. Nosił erkaem "Diegtiarowa". Miał ciemny zarost. Któregoś razu diabeł go podkusił i zachciało mu się do dziewczyny. No cóż puściłem go. Nie zgodził się wziąć jeszcze jednego chłopaka ze sobą dla osłony. wziął tylko automat. Mówił, że tylko na moment wyskoczy. No i trafił akurat na obławę. Zaczął się ostrzeliwać. W końcu został jednak ranny a i amunicja mu się wyczerpała. Wtedy wpadli do środka, do domu, rzucili się na nie-



go, skopali go i tak jak wieprzka rzucili na wóz drabiniasty. Nie wiem co się z nim dalej stało.

Dakowicz, Rogucki czy Werner nie byli stałymi członkami mojego oddziału. Na krótko przed ujawnieniem wyłączyłem ich z oddziału, żeby ułatwić im ujawnienie.

-----

Często zastanawiałem się dlaczego major "Jerzy" rozwiązał zgrupowanie. Myślę, że musiał to zrobić. Gdyby to tylko chodziło o Urząd Bezpieczeństwa, to nie byłoby problemu, ale po zakończeniu wojny zaczęły wracać jednostki LWP, które zostały nastawione na zwalczanie naszych oddziałów. Również wracały oddziały Armii Czerwonej. Na naszych terenach nastąpiło połączenie tych wszystkich sił przeciwko nam. Na walkę z nimi ~~wszystkimi~~ wszystkimi byliśmy za słabi i dlatego mjr. "Jerzy" musiał zarządzić częściową demobilizację i rozproszyć oddziały po całym terenie.

-----

Jak poszedłem do oddziału w maju 1945 r. dostałem nowitką papeszkę. Wyglądała jakby była prosto z magazynu. Najmniejszej plamki rdzy nie miała, różnie miałem ten automat z bocznym magazynkiem.

Nie mogę sobie jakoś przypomnieć okoliczności, kiedy "Murat" odszedł od nas. Pamiętam, że miał przy sobie stale dziesięciu ludzi, którzy stanowili jego stałą obstawę. Była to jakby żandarmeria polowa. Przy demobilizacji oddziału odeszli razem z nim, reszta zaś została zdemobilizowana, ci zaś, co byli spaleni zostali z nami.

Do śmierci "Groma" stacjonowaliśmy w Starym Majdanie i jego okolicach, gdyż był tam gęsty las, gęste zarośla, niedaleko przepływało źródło. Miejsce to świetnie nadawało się więc na obozowisko.

W moim mieszkaniu w Rafałowie był sowiecki punkt łączności.

Po wywiezieniu matki na Syberię w 1940 r. w moim mieszkaniu urządzili sielsowiet, czyli coś w rodzaju Urzędu Gminnego. W 1944 r. latem, gdy przyszli po raz drugi, to ukrywałem się w majątku Mroczyki jako tzw. zamiestitiel polskoj własti. Goniłiśmy tam samogon. Jak chciałem dostać się do żony, która była wtedy ~~z Białymstokiem~~ ~~z Białymstokiem~~, to musiałem zorganizować jakiś transport. Można było załatwić samochód, który jechał do Białego-<sup>i</sup>stoku, miał tzw. kamandirowkę. Musiał jednak prowadzić go oficer. Często samochody te zatrzymywały się <sup>zabijając</sup> niedaleko mnie. Brałem więc kanister bimbru i na trzeciego ~~ładowałem~~ ~~ładowałem~~ się do kabiny i śmiało jechałem. Jeżeli kierowca miał kamandirowkę do Białegostoku, to nie mógł ~~z~~ jechać za miasto dalej jak 16 km, bo w razie zatrzymania przez żandarmerię nie mógł już wytłumaczyć się. wszystko jednak można było załatwić ~~mając~~ mając bimber. Bez kłopotów więc zajeżdżałem do Rafałówki i brałem swego kolegę, z którym z Niemców bimber pędziłem. Umiął dobrze pić, mówiłem więc do niego: Kostek, zajmij się moim gościem a ja tu trochę pomieszkam.

Raz pamiętam przyjechaliśmy ciężarówką i pozrywaliśmy druty łącznościowe tej jednostce, której punkt łączności ~~miesz-~~ cił się w moim domu. Zona zajmowała tam jeden pokój, a oni drugi. To z tego powodu wybuchła cała awantura. Baba, oficer, wyskoczyła na drogę i zaczęła nas rugać a ja jechałem wtedy z majorem, byłem sybirakiem - Jozik miał na imię. Komiczna postać. No nie siedzisz, ty oficer, ja oficer - zaczął ją <sup>r</sup>przepraszać - no niczewo - i jakoś ~~z~~ baba uspokoiła się.

Ten punkt łączności był u mnie tylko przejściowo. Nie był długo.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek miała miejsce sytuacja opisywana przez "Sokoła" - Sorokę w Rafałówce a więc wal-

ka z sowieckimi żołnierzami z punktu łączności. Byłem już wtedy u "Groma" i musiałbym wiedzieć o tym. To przecież była moja rodzinna wieś.

-----  
Wracając do okupacji niemieckiej to w moim mieszkaniu mieścił się także punkt kolportażu prasy podziemnej na komapnię. Często przychodziły duże paczki po kilkaset egzemplarzy gazetek. Rozdzielałem je na poszczególne placówki. W końcu Niemcy zaczęli mnie podejrzewać, że prowadzę podziemną robotę. Wzięli więc mnie pod ścisły nadzór. Wobec takich jak ja podejrzanych stosowali dwie metody: albo kazali sobie meldować się co parę dni, albo przy każdej okazji jak tylko byli w terenie to byłem kontrolowany. Kiedy więc tylko żandarmweria wpadała do Rafałówki to musieli wiedzieć gdzie jestem. Byłem u sąsiada, to szli od chałupy do chałupy aż mnie znaleźli. Najczęściej lubiłem pogadać z nim. ściej zachodziłem do kołodzieja. Gdy więc pytali mnie co robię to widząc ich wcześniej - brałem dżuto do ręki i mówiłem, że koło reperuję. Nie czepiali się widząc, że obaj razem robimy przy kołach. Na wsi - takiego rzemieślnika, który wykonywał wozy - nazywano stelmachem. W końcu mnie jednak aresztowali. Prowadzili mnie przez środek wsi. Kazali mi nieść w jednej ręce teczkę z książkami a w drugiej ręce bańkę z bimbrem. Na moje szczęście puścili mnie. To było wiosną 1944 r., a latem - w ostatnich dniach swego panowania - zrobili obławę w Rafałówce. Zastrzelili wtedy jednego rolnika. Gdy usłyszałem strzały i ostrzeżono mnie to przez drogę poszedłem w żyto i dalej w las. Wróciłem dopiero wtedy, gdy przyszli Rosjanie.

Śmierć "Groma" nastąpiła, gdy staliśmy w Starym Majdanie. Dowódca miał kwaterę w leśniczówce. Razem z nim było dwóch podoficerów: "Zak" i jeszcze jeden - może "Sęp" albo "Błys-

kawica". Nie pamiętam dobrze, ale musiał pewnie odejść z oddziału zaraz po pogrzebie, skoro go nie pamiętam. Po tym wszystkim pluton pierwszy "Sępa" i "Błyskawicy" odmaszerował na zachód, w kierunku na Knyszyn.

Tak więc por. "Grom" nocował w leśniczówce wraz z dwoma podoficerami - dowódcami plutonów. W stodole obok znajdowała się część naszej kompanii - jakichś 20-tu chłopaków, i w obozie leśniczówce razem z "Gromem".<sup>część z nich potem nocowała w</sup> odległym o kilometr było ze 40-tu żołnierzy. Ja spałem wtedy w stodole. Pamiętam tylko, że byli wtedy "Słowik" i Wacław Popko, który potem został ~~zdemobilizowany~~ zdemobilizowany i zginął. Byłem wtedy jeszcze za krótko, żeby wszystkich znać. "Czarny" był chyba. "Duch" chyba też. Nad ranem usłyszeliśmy nagle serię z automatu. Zaskoczeni wybiegliśmy na podwórze. W kałuży krwi leżał por. "Grom". Leśniczy Samuk roztrzęsionym głosem mówił, że porucznik wyszedł w nocy na podwórze i powiedział wartownikowi, żeby poszedł spać i że sam go zastąpi. Niedługo potem przyszło kilku Sowieckich żołnierzy, z których jeden wystrzelił do naszego dowódcy. Seria biegła przez całą pierś. Zginął na miejscu. "Zak" i jeszcze jeden podoficer przeszukiwali kieszenie mundury dowódcy. Znaleźli wśród nich, oprócz dokumentów, również dolary przeznaczone na nasze zaopatrzenie. Oczywiście każdy się dziwił, jak to możliwe było, skoro leśniczy stał wtedy - jak sam mówił - koło "Groma" gdy podeszli ci Rosjanie i nie został nawet draśnięty, gdy przecież seria została poprowadzona - jak można było się zorientować - z rozmachem, od końca do końca- łukiem. Chociaż leśniczy mówił, że "Grom" zginął na ganku, ale leżał na podwórzu, w niedaleko studni. Wyglądało to tak, jakby został przeniesiony w to miejsce z ganku. Został przeszyty serią na wysokości serca. Dolary były w złotych monetach. Podobno "Zak" i ten drugi podoficer, po zdemobilizowaniu

we wrześniu, wykorzystali te pieniądze na zaczepienie się w Gdańsku, chociaż były własnością oddziału. Nie wiem czy przekazali je "Muratowi", bo nie byłem przy tym. Wiem tylko, że wyjechał w kierunku Gdańska. "Zaka" znałem stąd, że przed wojną był instruktorem "Strzelca" we wsi Bobrowa i na zbiórkach naszych grup z okolicznych wsi, na defiladach, spotykaliśmy się. Należenie do "Strzelca" było powodem do dumy.

-----

"Duch" to był najlepszy przewodnik w naszym oddziale. Doskonale znał lasy od Supraśla do Michałowa. Gdy zmienialiśmy miejsce postoju, to on prowadził nas na nowy teren. Miejsce na obóz wybieraliśmy koło rzeczki lub strumyka. Potem chodziłem po leśnych duktach dookoła obozu i nanosiłem je na szkic w notesie. Dzięki temu orientowałem się potem w terenie i każdy patrol nie potrzebował przewodnika, bo orientował się gdzie jesteśmy.

-----

Wiem, że "Orzeł" rozwalił Łukianiuka w Rafałówce, za to, że w czasie okupacji niemieckiej, gdy już "Czarny" był aresztowany wydał Niemcom jego brata - Bolka. Razem ponoć zostali zabici. Pechowy był, bo "Orłowi" zaciął się pistolet, więc gonił go z widłami i dorwał go dopiero w Dobrzyniówce i tymi widłami go zabił. Rozkaz jego zlikwidowanie nie pochodził jednak ode mnie a od siatki. "Czarny" miał jeszcze jednego brata - Józefa starszego od siebie, który był podoficerem polskiej żandarmerii i ten Józef poć był też w siatce i wydał rozkaz zlikwidowania Łukianiuka.

-----

"Murat" jak odszedł z oddziału to nie prysnął od razu daleko tylko jeszcze przez kilka dni znajdował się na melinach w pobliżu Zabłudowa. Wtedy właśnie wydał wyrok śmierci na Prokopowicza, który przyprowadził do mego domu UB. To było tak:

Zawsze lubiłem sobie pospać, tego jednak dnia wstałem wcześ-

nie, jeszcze przed wschodem słońca, i tak bez delu wyszedłem na podwórze. Po chwili skierowałem się w stronę warsztatu, który znajdował się na tyłach domu. Po kilku minutach usłyszałem rozmowę. Ostrożnie wyjrzałem zza węgła. Do domu dobijali się ubecy. Jakiś czas trwało, zanim żona otworzyła im drzwi. Od razu zorientowałem się, że tu bieda będzie. Zacząłem błyskawicznie oceniać szanse swej ucieczki. Za stodołą biegła droga do Dobrzyniówki, na Białystok. Tam pewnie musieli stanąć, jeżeli przyjechali na samochodach. Postanowiłem więc wymknąć się z pułapki skacząc przez płoty od jednego sąsiada do drugiego. W trakcie tego zauważyła mnie córka Białorusina i dała znać tym ~~ubekom~~ Roskom. Na szczęście w 5-tym czy 6-tym gospodarstwie trafiłem, że gospodarz już nie spał i skryłem się w jego stodo-  
le w słomie. Tej słomy było po sam szczyt, tak, że tylko wśliz-  
nąć się tam można było. Gospodarz ten widział mnie. Po kilkunastu minutach słyszę głosy Rosjan. NKWD przyszło po mnie. Pytają go czy widział, bo tu taki i taki powinien być. Może ty jego schował? - Gospodarz przysięga, że nic nie widział, bo dopiero co wstał. - Słyszę trzask raz i drugi. Mężczyzna dostał w twarz. Jej bohu - prawie już płakał - jego tu nie było - zarzekał się. Rosjanie zgłupieli początkowo, ale szybko doszli do siebie i prędko wyskoczyli na drogę. Jak już później dowiedziałem się moja żona też wprowadziła ich w błąd, bo powiedziała, że może jestem u kolegi na drugim końcu wsi. Ja w tym czasie pobiegłem przez pola między Dobrzyniówką a Zabłudowem, aż do Folwark. Tam już było spokojnie. To było latem, niedługo po przyjsciu Sowietów w 1944 r. Nie wiedziałem, że Prokopowicz, który został aresztowany przez NKWD zaczął sypać i że punkty w Gródku i Michałowie zostały spalone. Wróciłem więc do domu po ucieczce Niemców i spokojnie sobie mieszkałem, nie

wiedząc, że NKWD już wpadło na mój trop. O śmierci Prokopowicza dowiedziałem się dopiero, gdy poszedłem do oddziału z wojska. Opowiedział mi o tym "Rionek", który wcześniej ode mnie znalazł się w ~~konspiracji~~ partyzantce.

Nauczyciel, Kuryłowicz z Kamionki został zlikwidowany za to, że jeszcze w czasie okupacji niemieckiej współpracował z kolaboracyjnym Komitetem Białoruskim. Jeśli chodzi o likwidację kilku osób we wsi Zwierki, to do tej wsi i do Folwarków Dużych prowadziły ślady winnych wydania w ręce NKWD mego ojca. Został aresztowany przecież we wrześniu 1939 r. w Białymstoku na ulicy, gdy z kolegą udawał się na wiec. NKWD nie działało więc w ciemno. Być może likwidacje te były dziełem Zandarmerii "Groma", a później "Murata". Był to oddział do zadań specjalnych. Liczył 10-ciu ludzi.

Jak szliśmy na meliny to miałem luźny kontakt z eneszetowcami. Gdzieś albo w Tryciówcie, albo w Bogdankach, kol. Porosły trafiłem na moment jak wykonywali wyrok na jakimś działaczu partyjnym. Przyjechał on zorganizować zebranie i został aresztowany przez miejscową siatkę, a wieczorem zapadł na niego wyrok. Wykonano go w lasku, niedaleko wsi. To było blisko naszego ujawnienia, gdy rozpuściłem oddział na meliny. W takich wypadkach ustalaliśmy dzień i miejsce spotkania, gdy "powietrze zacznie być czyste".

---

Po rozwiązaniu oddziału "Murata", co mogło mieć miejsce w okolicach Zacisza, dowództwo nad tą resztą, którzy nie mogli być zdemobilizowani, przejął sierż. "Eranek". Jednak nie stanął na wysokości zadania. Razem z "Orłem" zaczął hulać po wsiach. Dopóki były to wsi białoruskie patrzyliśmy na to przez palce ale gdy zaczęli robić to na naszych melinach: strzelali w chałupach po pijanemu, gdy ranili naszego członka na melinie nie

możliśmy już dalej na to pozwolić. Odbył się nad nimi sąd koleżeński. Zastanawialiśmy się co z nim zrobić. Byliśmy pewni, że gdyby dostał tylko chłostę, to następnego dnia poszedłby na UB, żeby zemścić się na nas. Zostawić tak sprawy jednak nie mogliśmy przecież. Zresztą byłem przy jego przesłuchaniu w Krynickich na kolonii. Oprócz mnie w skład sądu wchodziłi jeszcze "Wiarus" i "Czarny". "Orzeł" jak dowiedział się, co mu może grozić, to przeląkł się, położył po sobie uszy, przyrzekł wrócić do oddziału i przysięgał, że poprawi się i nie będzie dokonywał akcji na własną rękę. "Franek" natomiast był hardy. Nie było mowy o tym, żeby przyrzekł poprawę. Uważał, że nic nie mamy do niego, bo on jest dowódcą. A przecież tym dowódcą to był tylko na początku. Był może w oddziale ze dwa razy i wysyłał wtedy patrole żywnościowe do białoruskich wsi, aż we wrześniu całkiem opuścił oddział i zostawił nas samych sobie. Wtedy, nie jako automatycznie, ja przejąłem dowodzenie oddziałem o czym zawiadomiłem go przez łączniczkę. Może dlatego, że byłem na szkole oficerskiej w konspiracji. "Czarny" organizował to wtedy. Byli już przygotowani wykładowcy, ale z chwilą gdy "Czarny" wpadł wszystko rozpadło się. Tak więc, wracając do "Franka", został on skazany na karę śmierci. Domagali się jej zresztą ludzie z siatki, szczególnie ci z rodziny tego człowieka, który został zraniony przez naszego pijanego dowódcę. Byli pewni, że gdy tylko skończy się na chłóście, to będzie się na nich mścić. Duch Puszczy jeszcze brząk chyba udział w wydaniu na niego wyroku, zlikwidowali go zaś "Mały" i "Wiarus". Potraktowaliśmy go tak surowo również i dlatego, że to on był inspiratorem tych różnych przestępstw, natomiast "Orzeł" potraktowaliśmy łagodniej. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że on już wcześniej miał podobne jak "Franek" ciągoty. Gdybym wtedy to wiedział, to kto



wie, czy nie dostałby takiego samego wyroku jak "Franek". Wyszliśmy jednak z założenia, że skoro ~~przy~~ przysiągł, że więcej żadnych wyskoków nie będzie, to zasługuje na łagodniejsze potraktowanie.

Tak więc nie miałem problemów z uznaniem przez chłopaków mego autorytetu. Mieli do mnie zaufanie. Były na przykład w oddziale dwa przypadki zastosowania chłosty i przecież żaden z nich, mimo tego, że mogli się czuć pokrzywdzeni, nie szukali ~~we~~ zemsty. Z "Duchem" na przykład razem ukrywaliśmy się i do mieszkania NKWD weszło, do sąsiedniego pokoju. Zrobili tam całą ~~prze~~ przesłuchania i przez ścianę słyszałem jak ci przesłuchiwanym Rosjanom płakali tam a śledczy rugali ich i krzyczeli: Moskwa łzom nie wierzy. Stamtąd wyprowadzali ich do lasu i słyszeliśmy jak wkrótce potem rozlegały się serie broni maszynowej. Swoich tak kosili. To było w 1944 r. U "Ducha" było już tak duszno, że uciekłem od niego i przeniosłem się <sup>pod majątek pod linię przyfron</sup> na kwaterę do "Buchaja". Bytowa. <sup>to</sup> było tam bezpieczniej. Widziałem jak z lasu wyszedł oddział ~~pol~~ partyzancki i skierował się do ~~sierż~~ stojących niedaleko enkawudzystów. Sowieci byli tym nieco skonsternowani. Zaczęli ich wypytywać: Skąd oni są, na jakiej podstawie itd. Wtedy oficer prowadzący ten oddział wyjął rozrzuconą przez nich ulotkę, ~~gdzie~~ gdzie pisało, że Sowieci gwarantują ujawniającym się polskim oddziałom partyzanckim bezpieczeństwo i wogóle wszystkie najlepsze warunki. W czasie wyjaśniania tego zamieszania, w trakcie tej rozmowy, enkawudziści otoczyli ten oddziałek - liczył on może ze 20 chłopaków - i kazali im złożyć broń. Po rozbrojeniu ustawili ich w kolumnę, sami posiadali na dwa gaziki, które ustawily się po jednym z przodu i z tyłu kolumny i biegiem marsz. Popędzili tych chłopaków na Białystok. Zastanawialiśmy się co z nimi będzie. Ku naszemu zdziwieniu - nie minęło jesz-

cze pół godziny - gdy znowu ich ujrzelismy. Tylko, że tym razem byli konwojowani już przez trzy gaziki. W tym trzecim jechali wyżsi oficerowie NKWD. Jak potem domyśleliśmy się ci pierwsi enkawudziści nie znali pewnie najnowszych rozkazów swego dowództwa wydanych w kwestii ujawniających się naszych oddziałów. Finał tego był taki, że zwrócili im broń i pozwolili im na noc rozkwaterować się w tej wsi, w której byliśmy, w Drukowszczyźnie i na drugi dzień sami mieli stawić się w Dojlidach na punkt zborczy wojska Polskiego. No i rzeczywiście, na drugi dzień, po śniadaniu, ze śpiewem, odeszli do tych Dojlid. Jak więc ta sytuacja była zmienna. Przecież w tym samym czasie aresztowali leśniczego Krauzego, którego też zasypał Prokopowicz Zaprowadzili go do Dojlid. Wcielili do wojska. Chłopak przeszedł front i wrócił cały.

-----

Z nieszczęśliwych wypadków w oddziale pamiętam jeszcze jeden Longin Krasowski ~~wchodził~~ wchodził do szałasu i oparł się o automat. ~~nie~~ nie ~~był~~ był zabezpieczony, a te ruskie automaty były wrażliwe i zamek odskoczył i automat wypalił. Pocisk przeszedł po wierzchu mózgu. Nawet chirurg nic nie mógł pomóc. Ciężką miał śmierć. To było tuż przed moim przyjściem do oddziału "Groma".  
\* \* \* \* \*  
To było na obozowisku w Stary Majdanie. Znałem go przed wojną stąd, że był działaczem młodzieży katolickiej w Zabłudowiu. Jego ojciec był starym, znanym działaczem chłopskim. Miał taki sumiasty wąs. Pogoda była wówczas dżdżysta, więc wchodził do szałasu skryć się przed deszczem. Jak przyszedłem do oddziału, to jeden drugiego ostrzegał: Czasem nie powtórz Longina śmierci

-----

"Franka" złapaliśmy między Krynickimi a Skrybiczami a sąd od był się na koloniach wsi Krynickie. Zresztą zachowywał się nawe

wet wtedy bezczelnie. Uważał, że jego postępowanie jest zgodne z etyką partyzancką. Odpowiedziałem mu, że jak tak zaczniemy wszyscy postępować z siatką to nie utrzymamy się tu tygodnia czasu. Ludzie odwrócą się od nas. Do niego nie docierało to jednak. Dlaczego strzelałeś? - Aa, bo pijany byłem - odpowiedział sobie nie przejmując się tym. Właśnie tymi swymi odpowiedziami tylko nas sprowokował jeszcze do tak ostrego potraktowania go. Myślę, że tak robił, bo nie przypuszczał nawet, że tak ostry warok może zapaść. Cały czas traktował nas z góry, a przecież "Duch" to był poważny człowiek, tak samo "Czarny". Uważał się za coś lepszego. Może dlatego tak zachowywał się, bo był wileńszczakiem, ale przecież weźmy "Gołębia". Ten był taktowny, bardzo inteligentny.

Jak spaliśmy na bagnach to śpiącym żmije za kołnierz włożyły. "Skowronek" mieszkał na bagnach na grodzieńszczyźnie więc miał wprawę w łapaniu ich. Któregoś razu żmija zwinęła mi się koło twarzy. "Skowronek" zbudził mnie i mówi: Nie ruszaj się. Chwycił gałąź, której koniec był w kształcie widełek i przyduślił żmiję do ziemi i ~~podniósł~~ chwycił ją przy łbie i podniósł ją do góry: O jaka ładna - powiedział. Wpuszczał takie młodsze do litrowych butelek i pokazywał jak atakują. Gdy żmija leżała skrecona w kłębek na dnie, pukał palcem w ściankę i wtedy ~~słychać~~ słychać było jej syk i na ściance zostawała kropelka jadu.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w leśniczówce Słomianka u państwa Nosorowskich. To było bezdzietne małżeństwo. Jako, że prowiant mieliśmy ze sobą, to nie mieli kłopotów z zorganizowaniem świątecznej uczy. wszyscy oczywiście byliśmy odświętnie wystrojeni - mundury wyprasowane i wyczyszczone. Gospodarze, przy składaniu życzeń, życzyli nam, żeby kule nas omijały.

Gdy nocowaliśmy w lesie, a nie na melinach, to naszym kucharzem, który dbał o nasze podniebienia, był waluk. Był świetnym kucharzem. Gotował smaczne zupki z jagód, grzybków, podgrzybków grochówki, fasolówki. Dobrze było. Ja wychodziłem z założenia, że połowa sukcesu jest osiągnięta, gdy żołnierz jest nakarmiony i jest dobrze ubrany, żeby zimno nie było. Dzięki temu i żadnych chorób w oddziale nie było. Nie przypominam sobie, żeby ktoś chorował. Kielicha wypił, zupy gorącej zjadł i na drugi dzień zdrów już był. Wszy też nas nie żarły, bo bielizna była zmieniana co tydzień. Zresztą jak któryś z chłopaków szedł do domu, to też zmieniał bieliznę. A tak, to gdy zachodziliśmy na meliny, to już tam panie dbały o nas, dbały, żebyśmy czysti byli. Jeden taki punkt był w Lewickich, drugi w Juchnowcu, w okolicach wsi Dobrzyniówka-Folwark, moja matka chrzestna przezi cież, wieś Majówka, Podroba - rodzinne strony "Górskiego" i "wiarusa".

Gdy zaczęła zbliżać się zima 1945/46 zaczęliśmy myśleć o wybudowaniu bunkra. Jeden wybudowaliśmy w okolicach Starego Majdanu, ale nie tam, gdzie był nasz stary obóz i drugi niedaleko Królowego Mostu. Były one zaopatrzone we wszystkie potrzebne sprzęty i oczywiście w żywność. Mąka czy kasza były w workach, a mięso, zasolone, w cementowych ceberkach. wszystko było dobrze zabezpieczone. Nie było wypadku, żeby kucharz podał nam cuchnący posiłek.

W czasie referendum w czerwcu 1946 r. nie przeprowadzaliśmy żadnych akcji zbrojnych. Prowadziliśmy jedynie akcję propagandową. wyjaśnialiśmy ludziom, że należy głosować według wytycznych peeselu. Trochę pisaliśmy ulotek, ale nie było to coś poważnego, bo u nas nie było specjalistów od propagandy. Z komendy obwołu dostawaliśmy też przez nasze łączniczki gazetki

Jeśli chodzi o tych żołnierzy, którzy przed sowieckim atakiem na Stary Majdan w lipcu 1945 r. skryli się na drzewach to było ich dwóch i nie siedzieli na tych drzewach dłużej jak dzień. Siedzenie tam 3 dni nie było przecież możliwe. Rosjanie nie znali wtedy jeszcze tej metody. Potem dostali rozkazy, żeby panetrować nie tylko doły, ale i korony drzew.

W czasie wyborów w styczniu 1947 r. nie podejmowaliśmy żadnych akcji zbrojnych, jedynie informowaliśmy się wzajemnie o sytuacji na punktach. Przez cały 1946 r. żadnych specjalnych akcji nie było. Ganialiśmy grupy kontyngentowe, czasami kogoś zlikwidowało się - jakiegoś szpicla, czy zdrajcę. Komenda Obwodu w zasadzie żadnych rozkazów, poza wspomnianymi, nie przysyłała. Oczywiście była to bezczynność tylko pozorna, bo cały teren, na którym operowaliśmy, był przez nas kontrolowany. Jednego dnia siedzieliśmy we wsi na terenach podleśnych, następnego zaś dnia przeskakiwaliśmy szosę Zabłudów - Białystok i szliśmy na tereny otwarte. Czasami specjalnie pojawialiśmy się w dzień, żeby ludzie mogli nas zobaczyć. Oczywiście ubowcy zaraz mieli o nas meldunki i natychmiast organizowali obławę, ale w tym czasie nas tu już dawno nie było. Co prawda uzbrojeni byliśmy dobrze, ale zapas amunicji mieliśmy niewielki, nie mogliśmy więc pozwolić sobie na duże walki z nimi. Krótkie starcie i odskok - to była nasza taktyka, jedyna, jaką mogliśmy przyjąć. Uważaliśmy, że zasługujemy na jakąś pochwałę ze strony komendy obwodu, chociażby za sam tylko fakt, że tyle wytrwaliśmy. W końcu stanowiliśmy przecież dla nich jakieś zaplecze w terenie. Łącznik ~~x~~ czy łączniczka ~~na~~ z obwodu docierały do nas raz w tygodniu. Zabierali meldunki dotyczące sytuacji w terenie, o ruchach wojska i milicji. W zamian dostawaliśmy gazetki i najnowsze wiadomości z miasta. Jak byliśmy na postoju w lesie, to

korzystaliśmy z naszych bunkrów, gdy byliśmy niedaleko od nich. Jeden - jak już wspomniałem - pobudowaliśmy niedaleko naszego starego obozu na Starym Majdanie, a drugi w okolicach Królowego Mostu. Ten był z większymi wygodami. Miał nawet oddzielną świetlicę. Początkowo zamierzałem wybudować jeszcze kilka innych bunkrów, ale w końcu zrezygnowałem z tego. Budowa takiego bunkra była bardzo ciężka. ~~Na~~ ~~to~~ Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak bardzo. Najpierw trzeba było wybrać ~~dosyć~~ miejsce o dosyć twardej, zbitej glebie. To sprawiało, że ściany mieliśmy pewniejsze, ale za to ciężiej było kopać, szczególnie ze względu na duże ilości korzeni. Potem z okrągłaków, które trzeba było przepikować i odpowiednio dopasować i przetransportować na miejsce układaliśmy ściany i sufit, który musiał być zrobiony solidnie, żeby nie zerwał się nam. Na koniec próbowaliśmy jeszcze wytrzymałość dachu i maskowaliśmy go na zewnątrz, tak samo i jedno wyjście. Był to co prawda błąd, bo wystarczyło, żeby UB zdjęło wartownika, obrzuciło jedyne wyjście granatami i bylibyśmy gołowi. Takiej ewentualności nie braliśmy jednak pod uwagę, wychodząc z założenia, że nie mogą nas zaskoczyć.

Byliśmy też w kontakcie z członkami PSL-u. <sup>Każdy</sup> ~~Wzrost~~ z nas był zresztą członkiem tej partii, ale oprócz tego mieliśmy też kontakt z wieloma peeselowcami, mając dzięki temu informacje o tym co dzieje się w stronnictwie, i jakie są bieżące wytyczne. Oczywiście nie obowiązywały nas one, gdyż mieliśmy swoje dowództwo, ale czasami pomagaliśmy, jeśli było to w naszych możliwościach.

Swoją ruchliwością psuliśmy krew UB, które niejedną noc straciło na uganianiu się za nami. Czasami specjalnie wysyłałem patrole trzyosobowe do jakiejś wsi, np. do Krynickich, żeby narobiły hałasu i natychmiast wracały. Konfidenci zaraz donosili

swym mocodawcom i ubecy ładowali się na samochody i jechali na łeb na szyję po nocy do wioski. Gdy przyjeżdżali, to już dawno nikogo z naszych nie było więc zapadli w zasadzki. Siedzieli w nich nocami i czekali, aż my im wpadniemy i nic z tego nie wychodziło. Tak było w Zabłudowiu, gdy oni - kierując się pozostawionym przez nas śladem w postaci strugi mąki, którą wysypywaliśmy z wozu - pojechali na Michałowo a my w tym czasie szliśmy całkiem inną drogą.

Był też wypadek, że "Pionek" w biały dzień postrzelał się w Zabłudowiu z milicjantem pod karczmą, na rynku. Potem rozbroił go. To jak przyjechało UB z Białegostoku, to milicji dostało się w skórę, bo jak to oni mogli dopuścić do tego, żeby w biały dzień po mieście szwendali się bandyci. Potem oddaliśmy broń, bo groziło mu 5 lat więzienia za utratę broni. Później mieliśmy taką sytuację, że jeden z milicjantów, który jest właśnie na zdjęciu, współpracował z nami. Kontakowaliśmy się z nim na najbliższych punktach. Dzięki temu wiedzieliśmy co, gdzie, nam grozi. Siatka zawsze wiedziała gdzie jesteśmy, bo zostawialiśmy informacje, w którym kierunku idziemy.

Akcja w Zabłudowie wyglądała normalnie. Od Białegostoku i Bielska, przy drogach wylotowych, wystawiłem ubezpieczenia. Część grupy poszła do spółdzielni, zająć się zarekwirowaniem prowiantu a druga grupa wykonała wyrok na wójcie i na kimś jeszcze. To było późnym wieczorem. Z tym, że tu nie chodziło o wykonanie wyroków śmiefci a o karę chłosty. Zadania te wykonano bez przeszkód ze strony milicji, która siedziała zamknięta w swoim posterunku cichutko jak mysz pod miotłą. W Urzędzie Gminnym poniszczyliśmy z papiery. Z poczty zabraliśmy maszynę do liczenia i do pisania, z której później korzystaliśmy, a maszyna do liczenia stała beczynnnie, bo przecież to co my mie-

liśmy do liczenia to i bez maszyny policzyliśmy. Tyle, że nauczyliśmy się wykonywać na niej cztery działania. Nie przypomniał nam sobie, żebyśmy zachodzili do restauracji, bo w tym czasie była już chyba zamknięta. Na rynku położyliśmy na ziemi paru ~~prz~~ ~~przechodni~~. Wytłumaczyliśmy im, że lepiej będzie dla nich, jeśli trochę poleżą i nie będą nam przeszkadzać. W razie jakichś nieporozumień mogliby zostać przecież postrzeleni. Leżąc na ziemi cieszyli się, że wójt dostanie w skórę. Opowiadali nam co dzieje się w miasteczku. Akcja trwała jakieś dwie godziny. Co prawda kazałem przeciąć druty, ale milicja miała chyba jakieś dodatkowe połączenie z Białymstokiem, bo niedługo po naszym wycofaniu się nadjechało UB.. Zrobili to znacznie szybciej niż po naszej akcji w Michałowiek.

Innym razem, nie pamiętam już czy było to latem, czy raczej wczesną jesienią 1946 r. - wiem tylko, że było ciepłutko, bo byliśmy w samych mundurkach, urządziliśmy zasadzkę na szosie. Drużyna gospodarczą została w obozie a ja z drugą drużyną wyruszyłem na akcję. Była jasna, księżycowa, noc. Ułożyliśmy się po obu ~~stronach~~ stronach drogi i czekaliśmy. Wkrótce nadjechały dwa samochody. Wszedłem na ~~środek~~ ~~drogi~~ i zatrzymałem je. wyszedł oficer. Kazałem mu trzymać łapy przy sobie po czym moi chłopcy rozbili wszystkich żołnierzy i część rozmundurowali. Żadnych drakońskich środków nie mogliśmy stosować, gdyż było to przecież wojsko a nie milicja czy UB. Akcja przeprowadzona była w okolicach Królowego Mostu, za "widłami". Tak nazywaliśmy rozgałęzienie dróg na Gródek i Michałowo. Oczywiście zaraz w ~~je~~ jednostkach radzieckich i w UB ogłoszono alarm. Zaczęło się patrolowanie szos. Jak zwykle nic to nie dało. W każdym bądź razie znowu narobiliśmy zamieszania. Tych rozbrojonych przez nas żołnierzy było co najmniej 20-tu. Był to jakiś pluton gospodar-



czy, który jechał po zaopatrzenie. Zdobytą broń przekazaliśmy na siatkę. Tam już odpowiednią ją zamelinowano. Najlepszym sposobem na przechowanie broni było ukrycie jej w mrowisku. Mogła tam leżeć całe lata i śladu rdzy na niej nie byłoby. Ale najczęściej ukrywano ją tak, żeby była pod ręką - w komurkach, albo w stodołach. Czasami zdarzało się też, że gdy zbliżaliśmy się do jakiejś białoruskiej wioski, to ostrzeliwano nas, bo Białorusini byli uzbrojeni przez UB specjalnie w tym celu. Szczególnie miało to miejsce w takich wsiach jak: Gnieciuki, Olszan-ka, Ołynka, to po naszym przemarszu, wychodzili na drogę i ~~xxxx~~ strzelali do nas. Stąd orientowaliśmy się, która wieś dostała broń. Przeważnie były to wsie czysto białoruskie. W tych wsiach zresztą zaopatrywaliśmy się w żywność. Nie chcieliśmy tego robić we wsiach polskich, co jest chyba zrozumiałe. Mimo wszystko rozumiem teraz białorusinów, że strzelali do nas. Byliśmy przecież dla nich uciążliwi. Ja w takiej sytuacji być może tak samo bym się zachował.

Komendanta posterunku w Michałowie to kropnął "Łoza". On przypisuje sobie ten wyczyn. Co do tego, że UB przypuszczało, że to "Duch Puszczy" jest dowódcą mego oddziału, to wynikało z tego, że jak szedł na jakąś akcję, to pewnie mówił, że to on do wódca oddziału. Ja tym raczej nie chwaliłem się, a "Duch Puszczy" to był przecież kawaler - stary, ale kawaler - "Pionek" - kawaler, "Mały" - kawaler, wszystko to było nieżonate.

---

Przed wojną jeszcze ukończyłem 7 klas szkoły powszechnej, a po wojnie, po ujawnieniu, skończyłem jeszcze technikum.

Do wojska poszedłem w 1944 r. bo w Gródku i Michałowie NKWD rozbiło naszą siatkę i grunt zaczął mi się palić pod nogami.

Natomiast jeśli chodzi o atak na bunkier niemiecki w Łukianach, to miało to miejsce niedługo przed przyjściem Ruskich. A-

tak przeprowadziła nasza siatka. Dowódcą jej był por. "Zawieja". Sztab mieścił się w Dobrzyniówce. Po zgromadzeniu się tam poszliśmy do lasu. Spędziliśmy tam dzień. Kto jaki zabrał ze sobą prowiant to zjadł i wieczorem poszliśmy na ten bunkier. Dostaliśmy wtedy szkołę. Była to przecież nasza pierwsza walka. Niemcy byli oczywiście ostrzelani. Od razu zaczęli strzelać do nas ekrazytówkami. Gdy wycofywaliśmy się, to nie było wiadomo, gdzie nogę postawić, bo wszędzie leciały pociski świetlne. W pewnym momencie słyszę za plecami szczekanie psa i komendy niemieckiem wtedy już nie patrzyliśmy na te świecące pociski tylko prysnęliśmy z młodego lasu w głąb. Zbieraliśmy się po tej akcji chyba ze dwa dni. Dziwne, że pomimo tak gęstej strzelaniny nikt z nas nie dostał. Była to raczej akcja propagandowa niż zbrojna, bo przecież my właściwie nie mieliśmy broni maszynowej. Owszem, był jeden, przedwojenny, polski, erkaem, ale był nieczynny. Mieliśmy tylko same kabeki, z których połowa była pordzewiała. Tak że tylko postraszyliśmy Niemców, nic poza tym. Potem dowódca nasz postanowił wysadzić pociąg. Założyliśmy ładunek pod szyny odpalany elektrycznie i gdy pociąg nadjechał mina nie wybuchła. Wtedy dowódca, chyba żeby zmanifestować naszą obecność, kazał nam ostrzelać pociąg. A my znajdowaliśmy się właśnie w polu ostrzału tego bunkra, który tak zdobywaliśmy. Zostaliśmy więc porządnie przez niego ostrzelani i dodatkowo przez cekaem, który znajdował się na końcu pociągu. Wartownicy plunęli nam z niego prosto w oczy. Wśród naszych wkradła się panika. Później jak dyskutowaliśmy ~~xx~~ o tej akcji, to doszliśmy do wniosku, że mogła to być masakra i na dodatek sankcje mogły być szalone bo ~~Nix~~ Niemcy mogli przecież spalić którąś z tych wiosek jak Folwarki Dobrzyniówka, Rafałówka, gdyby przechwycili jednego z naszych. "Zawieja" był raczej dowódcą kompanii, a dowódcą placówki - plu

tonu był "Kruk". Jego kolega ~~XX~~Komar~~X~~ pomagał organizacyjnie w zebraniu nas i doprowadzeniu na punkt zborny w lesie koło Dobrzyniówki.

Potem wycofaliśmy się od szosy michałowskiej i rozbroiliśmy jakiś tyłowy oddział niemiecki. Zabraliśmy im fury i broń, i puściliśmy ich. Potem jeszcze ostrzelaliśmy z zasadzki jakiś oddział, po czym wycofaliśmy się. Byliśmy kiepsko uzbrojeni. Mieliśmy same kabeki i to nie wszystkie sprawne. Niektóre były rozkalibrowane.

Gdy przyszli Sowieci to już tak było ciężko, że nie miałem dzie się podziąć. Na szczęście spotkałem pana Maciejewskiego, mego znajomego, który skierował mnie do pracy w majątku. Tam ukrywałem się przez cały okres żniw. W tym czasie byłem tylko raz badany przez NKWD, które sprawdzało wtedy wszystkich przebywających w strefie przyfrontowej. No ale gdy żniwa skończyły się, skończyła się również i moja rola w majątku. Nie miałem już co robić. Błem tam zbędny. Sytuacja pogorszyła się jeszcze na dodatek, gdy okazało się, że syn naszego pana ekonoma wstąpił do milicji. Przysuedł któregoś dnia pokazać się nam w nowym mundurze, a ja przecież stanowiłem dla moich współpracowników x zagadkę. Nie wiedzieli kto ja jestem i skąd. Dziwili się, że na moim stanowisku nie pracuje miejscowy. Musiałem więc wrócić do Białegostoku. Tam gdzie się jednak pojawiłem, tam wpadali wszyscy w panikę. Uznałem więc, że najlepszym miejscem na schowanie się przed NKWD będzie wojsko. Rano zgłosiłem się a wieczorem już miałem przydział na Majdanek. Trafiłem do szkolnej jednostki wojsk lotniczych. wpakowałem się nawet w taką sytuację, że gdy wyprowadzono do lasu kompanię łączności, to nas pogonili żebyśmy ich szukali. Później kilku z tych żołnierzy, którzy uciekli, wróciło. Natychmiast zostali aresztowani. Jednak już ~~xx~~

uwaga Informacji została na tę szkołę zwrócona i musiałem brać pod uwagę możliwość zdekonspirowania mnie. Wystarczyłoby, że zasięgnęli by o mnie informacji w terenie. Dowiedzieliby się, że jestem AK-owiec i kariera moja byłaby już skończona. Tak robili przecież z powstańcami warszawskimi. Rano jeszcze był na apelu, a następnego dnia zostawało po nim tylko puste łóżko. Znikali bez śladu. Kierowano ich od razu do karnej kompanii, a tam życiorys był krótki. Żadko który z nich miał szczęście przeżyć.

-----

Często zachodziliśmy całym oddziałem do gajówki Borsukowina. Leśniczym był tam Antoni Sokołowski. Dostał za pomoc nam 5 lat. Zachodziliśmy też do Stanisława Szarejki z Folwark Małych. Dostał karę śmierci za to, że znaleziono u niego broń. Wyrok wykonano.

Razem z nami ujawniał się oddział "świerka". Byli też z nami na mszy w kościele Farnym.

Spisał: Jerzy Kułak